

Heinrich August Winkler



Długa droga na Zachód

Pożegnanie z kwestią niemiecką

Dyskusja
z Adamem Krzemińskim, Robertem Trabą
i Klausem Ziemerem

**FRIEDRICH
EBERT**

STIFTUNG
PRZEDSTAWICIELSTWO W POLSCE



Heinrich August Winkler

Długa droga na Zachód

Pożegnanie z kwestią niemiecką

Dyskusja
z Adamem Krzemińskim, Robertem Trabą
i Klaussem Ziemerem

Spotkanie zostało zorganizowane we współpracy Niemieckim Instytutem Historycznym i Instytutem Goethego

Tłumaczenie: Adam Peszke

Wydawca:

Fundacja im. Friedricha Eberta, Przedstawicielstwo w Polsce

Nieodpłatna dystrybucja:

Fundacja im. Friedricha Eberta, Przedstawicielstwo w Polsce
ul. Podwale 11, PL 00-252 Warszawa

© Fundacja im. Friedricha Eberta,
Przedstawicielstwo w Polsce
ul. Podwale 11, 00-252 Warszawa

Opracowanie graficzne: Janusz Pilecki

Druk: GRAF

Wszelkie prawa zastrzeżone

Printed in Poland 2008

ISBN 9788386088836

Spis treści

1. Wprowadzenie

Peter Hengstenberg

Fundacja im. Friedricha Eberta, Przedstawicielstwo w Polsce

2. Długa droga na Zachód. Pożegnanie z kwestią niemiecką

Heinrich August Winkler

3. Dyskusja

Wprowadzenie

5 grudnia 2007 prof. Heinrich August Winkler przedstawił w Niemieckim Instytucie Historycznym (DHI) w Warszawie swoją książkę „Długa droga na Zachód” z 2000 roku. Okazją było opublikowanie kilka miesięcy temu polskiego wydania obu tomów tego dzieła – „Dzieje Niemiec 1806-1933” i „Dzieje Niemiec 1933-1990” – przez Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego. Zainteresowanemu czytelnikowi niniejszej broszury polecamy lekturę obu tych tomów.

Dwie uwagi wstępne: W imprezie zorganizowanej wspólnie przez Fundację im. Friedricha Eberta, DHI oraz Instytut Goethego wzięli udział oprócz prof. Winklera także dziennikarz i publicysta Adam Krzemiński, założyciel i dyrektor Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie prof. Robert Traba oraz dyrektor DHI prof. Klaus Ziemer.

Oprócz wykładu H.A. Winklera i wystąpień obu niemcoznawców – A. Krzemińskiego i R. Traby oraz K. Ziamera zdecydowaliśmy się włączyć do niniejszej publikacji także dyskusję z obecnymi na spotkaniu specjalistami. Ich wypowiedzi pokazały wyraźnie, że ważne jest dalsze analizowanie tych dziejów w kontekście szerszym niż sama kwestia niemiecka.

W swoim wykładzie „Długa droga na Zachód. Pożegnanie z kwestią niemiecką” prof. Winkler zacytował Richarda von Weizsäckera, który 3 października 1990 roku, w dniu ponownego zjednoczenia Niemiec, powiedział: „Nadszedł dzień, kiedy zjednoczone Niemcy znalazły swe trwałe miejsce w kręgu zachodnich demokracji.”

To z pewnością prawda – Niemcy dotarli na Zachód. Prawdą jest również, że nie byłoby zjednoczenia Niemiec bez samowyzwolenia się Polski. Wiedzą o tym polityczne elity oraz bardzo wielu myślących politycznie Niemców. Prof. Winkler powiada: „Ja w każdym razie należę do tych, którzy datują pokojową rewolucję nie dopiero od 1989 roku w NRD, lecz od 1980 roku w Polsce, czyli od roku, w którym założono Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność.” Możemy zatem wyciągnąć z tego wniosek, że *kwestia niemiecka* została rozwiązana na początku ostatniej dekady ubiegłego wieku razem z trwającą prawie sto lat *kwestią polską*. Jest to istotne stwierdzenie w kontekście dalszego rozwoju sąsiedzkich relacji polsko-niemieckich oraz partnerstwa obu krajów w Unii Europejskiej.

R. Traba, a także A. Krzemiński zadali pytanie, czy Niemcy zakończyły długą drogę na Zachód i uznali, że powinien powstać epilog do książki prof. Winklera. Od doniosłego roku 1990 minęło prawie 20 lat. Od tego czasu sytuację Europy, ale także całego świata, zmieniły ważne wydarzenia: wojna na Bałkanach i jej skutki, 11 września i zagrożenie globalnym terroryzmem, wojna w Iraku i Afganistanie, przystąpienie krajów Europy Środkowo-Wschodniej do NATO i Unii Europejskiej.

H.A. Winkler przywołał swój wykład „Polskie wyzwolenie, niemieckie zjednoczenie. Trudna droga do rozwiązania dwóch kwestii stulecia”, który zainaugurował w roku 2002 we Wrocławiu coroczne „Wykłady ku czci Willy Brandta”, organizowane przez Centrum Willy Brandta i Fundację im. Friedricha Eberta, oraz swój tom esejów „Auf ewig in Hitlers Schatten? Über die Deutschen und ihre Geschichte” („Wieczny cień Hitlera? O Niemcach i ich historii”). Analizuje w nim pochodzenie i ewolucję zachodniej wspólnoty wartości oraz definiuje Zachód. Oba te pojęcia były ważnymi punktami odniesienia podczas naszej dyskusji 5 grudnia w DHI.

Profesor Winkler definiuje Zachód w wymiarze historycznym, a zarazem normatywnym. „Normatywne pojęcie Zachodu oznacza, że podstawą naszego rozumienia polityki są współcześnie wciąż owe wartości zachodnie, które można rozumieć wyłącznie jako efekt współpracy transatlantyckiej.” Zwraca jednocześnie uwagę, że historię Zachodu można opisać „również jako historię permanentnych sprzeczności pomiędzy wartościami a rzeczywistością (oraz ich interpretacją)”. Dotyczy to oczywiście nie tylko krajów spoza Europy, które należą do zachodniej wspólnoty wartości. Dotyczy to w szczególności krajów członkowskich Unii Europejskiej, które mają swoje pola decyzji i działania, ale zdane są na wzajemną współpracę i sprawowanie swej suwerenności po części wspólnie lub przekazywanie jej części instytucjom ponadnarodowym. „Należy do tego również wniknięcie w różnice pomiędzy narodami oraz – oprócz tego, co nas w przeszłości dzieliło – także w to, co narody europejskie ze sobą łączyło.”

Długa droga na Zachód to bez wątpienia proces niezakończony, który będzie dalej postępował, ponieważ zmiany politycznych, ekonomicznych, społecznych, humanitarnych i ekologicznych warunków ramowych sprawiają, że nasze wartości trzeba interpretować wciąż na nowo. Życzę Państwu zatem inspirującej lektury.

Peter Hengstenberg
Fundacja im. Friedricha Eberta, Warszawa

Prof. Klaus Ziemer

Chciałbym Państwa serdecznie powitać na szczególnej imprezie w Niemieckim Instytucie Historycznym, która jest współorganizowana przez Instytut Goethego i Fundację Eberta, którym bardzo dziękujemy za dobrą współpracę. Historia Niemiec XIX i XX wieku była trudna, złożona, pełna przeciwieństw i dynamiki. Tak doświadczyli ją, czasem bardzo boleśnie, sąsiedzi Niemiec, a przede wszystkim sami Niemcy. Taka historia skłania do refleksji.

W ostatnich dziesięcioleciach kilku wybitnych historyków zaprezentowało własną interpretację historii Niemiec. Golo Mann, Thomas Nipperdey, Hans-Ulrich Wehler – aby wymienić tylko kilka nazwisk historyków niemieckich. Każdy z nich miał swoje własne podejście, podkreślił poszczególne czynniki rozwoju państw i społeczeństwa niemieckiego. Kiedy 7 lat temu ukazała się monumentalna, dwutomowa historia Niemiec Heinricha Augusta Winklera pt. „Der lange Weg nach Westen”, czyli „Długa droga na Zachód”, krytycy byli zgodni co do tego, że książka stanowi *opus magnum*. Prezentuje ona inne podejście do przebiegu historii niemieckiej. Mianowicie stara się nie tyle przedstawić sam rozwój wydarzeń, co zadać pytanie: dlaczego tak się stało? Analizuje motywy protagonistów i zajmuje się głównymi dyskursami danego czasu. Przybliży czytelnikom również obraz historii, która kierowała różnymi bohaterami. Dwa tomy, które się ukazały, i zawarte w nich tezy były szeroko dyskutowane. Ukazało się także polskie tłumaczenie tego arcydzieła, tak, że również czytelnik polski może zapoznać się z historią Niemiec XIX i XX wieku z perspektywy Heinricha Augusta Winklera.

Cieszę się, że autor przedstawi nam dzisiaj wieczorem najważniejsze tezy tego dzieła, na pewno uwzględniając także różne głosy dyskusji o nim. Po wykładzie, który będzie trochę krótszy niż zwykle, odbędzie się dyskusja panelowa, a na koniec również dyskusja z Państwem.

Heinrich August Winkler urodził się w Królewcu, studiował historię, naukę o polityce, filozofię i prawo publiczne w Tybindze, Münster i Heidelbergu. Po doktoracie w roku 1963 pracował od roku 1964 na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, gdzie w roku 1970 habilitował się z historii nowoczesnej i z nauki o polityce. Od 1972 r. był profesorem na uniwersytecie we Fryburgu Bryzgowijskim, a od roku 1991 do emerytury, na którą przeszedł w ubiegłym roku, na uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Zajmował się problemami nacjonalizmu, różnymi aspektami historii niemieckiej XIX i XX wieku i często zabierał głos w ważnych debatach pu-

blicznych. Był i jest członkiem ważnych rad naukowych, jak na przykład Domu Historii Republiki Federalnej lub Institut für Zeitgeschichte. Cieszymy się na wykład Panie Profesorze, bardzo proszę o zabranie głosu.

Długa droga na Zachód Pożegnanie z kwestią niemiecką

Heinrich August Winkler

Wszystkie historyczne opracowania potrzebują punktu odniesienia. Dla rozważań nad historią Niemiec po zakończeniu II wojny światowej istnieją tylko dwa takie punkty: rok 1945 jako data upadku Trzeciej Rzeszy Adolfa Hitlera, a tym samym Rzeszy Niemieckiej utworzonej przez Bismarcka, albo rok 1933, w którym rozpoczęła się *niemiecka katastrofa*. Za sprawą zjednoczenia Niemiec doszedł kolejny punkt odniesienia refleksji historycznej, mianowicie rok 1990 jako moment, w którym tzw. problem niemiecki znalazł nareszcie swe rozwiązanie.

W pierwszym tomie mojej „Długiej drogi na Zachód”, obejmującym okres od końca Starej Rzeszy do rozwiązania Republiki Weimarskiej, zasadnicze pytanie brzmi: jak mogło dojść do zdobycia władzy przez Hitlera. Punktem odniesienia jest tu zatem rok 1933. Drugi tom traktuje o okresie między powstaniem Trzeciej Rzeszy a ponownym zjednoczeniem Niemiec. To wydarzenie historyczne w sposób logiczny staje się punktem odniesienia moich rozważań w tej części książki. Trzeba jednak zauważyć, że rok 1990 ma także znaczenie w analizowaniu czasów sprzed 1933 roku. Od momentu, gdy staliśmy się ponownie państwem narodowym, niektóre nasze tezy o końcu niemieckiego państwa narodowego, czy też końcu państw narodowych w ogóle, wydają się przedwczesne. Historia pierwszego niemieckiego państwa narodowego, Rzeszy Bismarcka, tworzy część dziejów poprzedzających Trzecią Rzeszę, jednak taką samą funkcję ma także w stosunku do powstania drugiego – współczesnego – niemieckiego państwa narodowego.

Tzw. kwestia niemiecka, którą rozwiązano w 1990 roku, istniała – choć nie w sposób ciągły – prawie przez dwieście lat. Zapoczątkowana została przez Napoleona w momencie, gdy wymusił on w 1806 roku likwidację Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Kwestia ta miała dwa aspekty: była problemem związanym z terytorium oraz pytaniem o relacje między jednością a wolnością. W centrum problemu terytorialnego stało pytanie o kwestię *mało-* albo *wielko-*

niemiecką, czyli o utworzenie niemieckiego państwa narodowego z udziałem lub bez udziału Austrii. Wewnętrzna część problemu niemieckiego wynikała z dwiistości celu ruchu narodowego, który dążył do jednoczesnego uczynienia z Niemiec państwa narodowego i państwa konstytucyjnego.

Wojny wyzwolenicze przeciwko Napoleonowi ani o krok nie zbliżyły sił postępowych do osiągnięcia ich celów. Rewolucja roku 1848 uzmysłowiła liberałom, że monarchia habsburska nie jest gotowa dokonać samorozwiązania dla dobra zjednoczonych Niemiec. W efekcie niemieckie państwo narodowe mogło istnieć jedynie przy wykluczeniu Austrii, a zgodnie z ówczesną sytuacją – tylko pod przywództwem Prus. Cel liberałów – jednoczesne urzeczywistnienie jedności i wolności – nie został osiągnięty. Było to ambitniejsze przedsięwzięcie niż rewolucja francuska roku 1789. Zastali przednowoczesne państwo narodowe, które chcieli ukształtować na całkiem nowej politycznej i społecznej podstawie, nie feudalnej, a obywatelskiej. Dla niemieckiego liberalizmu jednoczesne domaganie się jedności i wolności było programem pozbawionym alternatywy, lecz także realnych szans na powodzenie.

Częściowe rozwiązanie tzw. problemu niemieckiego nastąpiło wskutek powołania przez Bismarcka cesarstwa w latach 1866-1871. Nastąpiło zatem na drodze odgórnego rozwiązania, którą Prusy odpowiedziały na nieudaną rewolucję oddolną (Wiosna Ludów). Bismarck rozwiązał kwestię jedności w sensie małoniemieckim, tak więc bez Austrii i przeciwko niej. Rozwiązał ją mimo sprzeciwu cesarza Francji, Napoleona III, który Bismarck przełamał z pomocą zwycięskiej wojny. Kwestii wolności w sensie wprowadzenia uzależnionego od parlamentu rządu nie rozwiązał i nie mógł tego uczynić. Taki ustrój byłby sprzeczny nie tylko z interesami warstw rządzących starych Prus: dynastii Hohenzollernów, szlachty, wojska i centralnej administracji państwa, lecz także z interesami innych państw niemieckich, jak Bawaria, Wirtembergia czy Saksonia. Niemcy uzyskali wszakże istotną część demokracji w postaci powszechnego, równego prawa wyborczego do Reichstagu, które przyznano mężczyznom. Była to ordynacja wyborcza bardziej postępową niż w liberalnych modelowych monarchiach, jak Wielka Brytania i Belgia.

Częściowa okcydentalizacja i nierównoczesna demokratyzacja: są to dwa pojęcia, za pomocą których pragnę scharakteryzować rozwój Niemiec w epoce Rzeszy Cesarstwa. Mówię o częściowej okcydentalizacji, gdyż utworzenie pierwszego niemieckiego państwa narodowego usunęło niemiecką specyfikę, czyli fakt, iż nie istniało przedtem niemieckie państwo narodowe. Tym samym Niemcy upodobniły

się do Zachodu. Cesarstwo niemieckie było jednak dalekie od demokracji parlamentarnej, okcydentalizacja była więc bardzo ograniczona. Przez nierównoczesną demokratyzację rozumem natomiast sprzeczność pomiędzy wcześniejszą demokratyzacją prawa wyborczego i późniejszą demokratyzacją systemu rządzenia w węższym rozumieniu.

Do demokracji parlamentarnej Niemcy przeszły dopiero w październiku 1918, po militarnej klęsce w wyniku I wojny światowej. Nastąpiło to za późno, by zapobiec rewolucji i proklamacji republiki w listopadzie 1918, za późno także, by odrzucić powszechne utożsamienie demokracji z klęską. Spośród psychologicznych obciążeń, jakie towarzyszyły powstaniu Republiki Weimarskiej, to miało największą wagę. Szerokie warstwy niemieckiego społeczeństwa, a przede wszystkim jego elity traktowały demokrację jako formę państwowości zwycięzców, a przez to nie niemiecką.

Republika Weimarska jako demokracja parlamentarna przetrwała niecałe dwanaście lat. Po upadku ostatniego gabinetu większościowego w 1930 roku Niemcy przeszły do rządów pod znakiem na wpół autorytarnej *konstytucji rezerwowej*, czyli rządzenia za pomocą nadzwyczajnych dekretów wydawanych przez prezydenta Rzeszy. Rządy schyłkowej Republiki Weimarskiej przypominały często praktykę rządzenia w czasach władzy zwierzchniej cesarza. Jednak jako organ ustawodawczy Reichstag miał po 1930 roku mniej do powiedzenia niż przed rokiem 1918. Wykluczenie, a w gruncie rzeczy samowykluczenie Reichstagu ożywiło siły antyparlamentarne z prawej i lewej strony sceny politycznej. Największe korzyści z kryzysu demokracji parlamentarnej (deparlamentaryzacji) odniósł Hitler. Mógł odtań odwoływać się do dwóch spraw. Z jednej strony posługiwał się zakorzenionym od czasów Bismarcka żądaniem udziału narodu we władzy poprzez stosowanie powszechnego prawa wyborczego, które teraz utraciło swe polityczne znacznie wskutek rządów prezydenckich. Z drugiej strony przywoływał rozpowszechnione urazy wobec demokracji parlamentarnej, która po 1930 roku w rzeczywistości nie była niczym innym niż fasadą, by nie powiedzieć farsą. Hitler został głównym beneficjentem nierównoczesnej demokratyzacji Niemiec. Był to często pomijany przez historyków warunek jego sukcesów wyborczych po roku 1930.

Inną – także niedocenianą przyczyną tryumfu Hitlera, zwłaszcza po 1933 – było odrodzenie mitu Rzeszy. 18 grudnia 1941, więc prawie dziewięć lat po powołaniu na urząd kanclerski, Hitler oświadczył w swej kwaterze *Wilczy Szaniec* we wschodniopruskiej Gierłoży, że już wtedy (tj. przed dziewięćciu laty) powiedział sobie: „Rok

1933 nie jest niczym innym jak odnowieniem pewnego tysiącletniego stanu. Pojęcie Rzeszy było wtedy całkowicie wyrugowane, ale dzisiaj zwycięsko upowszechniło się u nas i w świecie: wszędzie mówi się o Niemcach tylko jako o Rzeszy”.

Hitler przeceniał swoje rzekome zasługi. W opinii wykształconych Niemców już przed 1933 rokiem Rzesza przebudziła się do nowej, nawet jeśli tylko duchowej, wielkości. Stała się odpowiedzią prawicowych intelektualistów na Republikę Weimarską i obydwa Wersale, ten z 1919 roku i ten z 1871 roku. Rzesza była z ich punktu widzenia czymś wyższym, lepszym niż republika. Była także czymś więcej niż małoniemiecka Rzesza Bismarcka. Wraz z upadkiem monarchii Habsburgów w 1918 roku zniknęła główna przeszkoda, która w XIX wieku uniemożliwiła rozwiązanie wielkoniemieckie. Tylko wola zwycięskich mocarstw stała na drodze zjednoczeniu Niemiec i Austrii: w Republice Weimarskiej panowała co do tego narodowa zgoda. Idea Rzeszy w okresie międzywojennym miała charakter wielkoniemiecki, choć nie wyłączny. U intelektualistów *konserwatywnej rewolucji* powoływanie się na Rzeszę łączyło się z myślą o ponadnarodowym zadaniu przywódczym Niemców. Niemcy powinny być siłą rządzącą w Europie. Ich powołaniem było odrzucić demokratyczne idee Zachodu i komunistyczne Wschodu. Rzesza Niemców miała być siłą, której przeznaczeniem było powstrzymanie panowania Antychrysta: dla niektórych wykształconych Niemców ten średniowieczny mit stał się na powrót aktualny po 1933 roku. Dzięki ideologii Rzeszy można było zwalczyć traumę klęski i dlatego stała się ona najważniejszym pomostem między wykształconymi Niemcami a Hitlerem.

Dla radykalnych antysemitów, nawiązujących do mitu Antychrysta, ważne było coś innego – Antychryst był zgodnie ze średniowieczną wykładnią Żydem. Walka z Żydami stawiała się walką z Antychrystem. Także Hitler posługiwał się tą ukształtowaną wcześniej konstrukcją myślową. Wygłaszając w berlińskim pałacu sportu mowę z okazji dziewiętej rocznicy tzw. przejścia władzy (30 stycznia 1942), powołał się na przepowiednie apokalipsy, by z ich pomocą usprawiedliwić zagładę Żydów. Decyzja o likwidacji wszystkich europejskich Żydów zapadła kilka dni wcześniej.

Nie wszyscy intelektualiści, będący zwolennikami mitu Rzeszy, byli fanatycznymi antysemitami. Jednak połączenie pseudoteologicznego mitu Rzeszy z tak samo pseudoteologiczną nienawiścią do Żydów przyczyniło się w decydującej mierze do tego, że mit Rzeszy uległ trwałej dyskredytacji. W 1945 roku, w chwili katastrofy

Trzeciej Rzeszy upadł on razem z historycznie wcześniejszym mitem Prus. Próby ożywienia go przez prawicowo-katolickich intelektualistów, które podjęto w późnych latach 40. i 50., nie przyniosły żadnego skutku.

Doświadczenie *niemieckiej katastrofy* było także potrzebne, by pozbawić intelektualne elity Niemiec ich antyzachodnich resentymentów. Po roku 1945 nie rokowało już sukcesu odrzucanie zachodniej demokracji jako formy państwowej zwycięzców, podobnie jak przeciwstawianie kiedyś *idei 1914 roku* jako niemieckiej odpowiedzi na *idee 1789 roku*, czy rzekomo materialistycznej cywilizacji Zachodu kulturze niemieckiej duchowości. Antyzachodnia odrębna droga rozwoju Rzeszy Niemieckiej osiągnęła swój koniec, koniec pełen grozy.

Szansę na powtórny próbę wdrożenia demokracji otrzymała jednak po 1945 roku tylko część Niemców – ci, którzy mieszkali w zachodnich strefach okupacyjnych, późniejszej Republice Federalnej Niemiec. Ustawa Zasadnicza RFN wyciągnęła wnioski z błędów konstytucji weimarskiej. Stała się podstawą sprawnej demokracji parlamentarnej, która przezornie wydawała walkę swym przeciwnikom i tworzyła efektywne instrumenty, aby im zablokować legalną drogę do władzy. Niemcy z Radzieckiej Strefy Okupacyjnej, późniejszej NRD, nie mogli sobie wybrać systemu rządów. Musiało minąć 40 lat do czasu *pokojoywej rewolucji* 1989 roku, dzięki której ich udziałem stała się wolność i demokracja.

W Republice Weimarskiej lewica była internacjonalistyczna, a prawica nacjonalistyczna. W Republice Bońskiej było na odwrót. Siły centroprawicowe na czele z Konradem Adenauerem uprawiały politykę ponadnarodowej integracji, podczas gdy umiarkowana lewica, socjaldemokracja pod przywództwem Kurta Schumachera i Ericha Ollenhauera, dawała żądaniom niemieckiej jedności pierwszeństwo przed integracją z Zachodem, zyskując przez to wyraźnie narodowy charakter. Dopiero po przyjęciu tzw. traktatów wschodnich w czasach pierwszego socjaldemokratycznego kanclerza, Willy'ego Brandta, myśl o odbudowie narodowej jedności zeszała u socjaldemokratów na plan dalszy.

W latach 80. uformowała się *lewica postadenauerowska*, która po czasie przyznała rację pierwszemu kanclerzowi RFN, a nie jego oponentowi Kurtowi Schumacherowi. Autorem tego określenia był Jürgen Habermas, który w 1986 r. zastosował je w czasie sporu historyków o bezprecedensowość nazistowskiej eksterminacji Żydów. Nazwał on „otwarcie się RFN bez zastrzeżeń na polityczną kulturę Zachodu wielkim intelektualnym osiągnięciem naszej epoki powojennej,

z którego właśnie moje pokolenie może być dumne". W tym samym roku ukazała się pierwsza część piątego tomu „Historii Republiki Federalnej Niemiec”. Boński historyk dziejów najnowszych, Karl Dietrich Bracher, powtórzył w niej formułę ukutą już 10 lat wcześniej, ale wtedy prawie niezauważoną. Nazwał on RFN *postnarodową demokracją wśród państw narodowych*. W ten sposób Bracher podkreślił wyjątkowość RFN, nie chciał jednak w niej widzieć żadnego *szczególonego przypadku*, który wskazywałby Niemcom *odrębną drogę rozwoju*.

W końcowym okresie istnienia starej RFN ukształtowało się faktycznie coś na wzór nowej niemieckiej odrębnej drogi rozwoju. W 1988 roku Oskar Lafontaine, ówczesny premier Kraju Saary i zastępca przewodniczącego SPD, opublikował książkę pt. „Społeczeństwo przyszłości”. Jedną z jego tez głosiła: „Z tego powodu, że my Niemcy mieliśmy najstraszniejsze doświadczenia z wynaturzonym nacjonalizmem, łatwiej nam przyszła rezygnacja z narodowej państwowości niż innym narodom [...]. Z powodu swej najnowszej historii Niemcy są predestynowani do roli siły napędowej ponadnarodowego jednoczenia się Europy”.

Od wynaturzenia do predestynacji: oto pseudoteologiczny wariant *felix culpa* jednego z ojców Kościoła św. Ambrożego. Jest to nowy wariant nauki o błogosławionej, gdyż niezbędnej do zbawienia winie. Lafontaine ogłosił Auschwitz źródłem *naszej zachodnionieemieckiej tożsamości narodowej* i wywodził z tego prawo RFN do odgrywania w zachodnioeuropejskim procesie zjednoczeniowym roli przywódczej. Była to dialektyczna wolta, którą nie wywołał wszakże poza RFN wielkiego zachwyty.

Z ponownym zjednoczeniem Niemiec także i ta odrębna niemiecka droga znalazła swój koniec. Nowa RFN nie jest już postnarodową demokracją wśród państw narodowych, lecz jest postklasycznym demokratycznym państwem narodowym pośród innych sobie podobnych. Postklasycznym, czyli mocno zakorzenionym w Unii Europejskiej i sojuszu atlantyckim oraz gotowym korzystać wspólnie z innymi z części swej narodowej suwerenności albo przenieść ją na ponadnarodowe organy. Zjednoczone Niemcy potrzebowały nieco czasu, aby mentalnie przyswoić przyrost suwerenności, który był związany z odzyskaniem jedności narodowej. Obecnie także demokratyczna lewica zgadza się, że z niemieckiej historii nie można wywodzić wyjątkowej niemieckiej roli na polu militarnym i szczególnego niemieckiego obowiązku względem bezwarunkowego pacyfizmu. Można to nazwać odrobiną europejskiej normalizacji.

Od czasu ponownego zjednoczenia nie istnieje już tzw. kwestia niemiecka. Ta teza rozpoczęła moje dzisiejsze wystąpienie. Niemiecki problem został w 1990 roku rozwiązany w sposób potrójny. Po pierwsze wyjaśniono kwestie terytorialne. Od 3 października 1990 definitywnie wiadomo, gdzie leżą Niemcy, jak przebiegają ich granice, co do nich należy, a co nie. Ostateczne uznanie zachodniej granicy Polski oznaczało także rozwiązanie innego problemu XX stulecia, tzw. sprawy polskiej. Oba problemy mogły zostać rozwiązane równocześnie i razem.

Po drugie nie ma już żadnych sprzeczności między jednością a wolnością. 3 października 1990 ówczesny prezydent RFN, Richard von Weizsäcker powiedział w trakcie uroczystości w berlińskiej filharmonii: „Nadszedł dzień, kiedy zjednoczone Niemcy znalazły swe trwałe miejsce w kręgu zachodnich demokracji”. W sposób bardziej dobitny nie można było tego powiedzieć. Ponowne zjednoczenie oznaczało urzeczywistnienie historycznych postulatów 1848 roku, żądających jedności w wolności.

Po trzecie, dzięki członkostwu zjednoczonych Niemiec w NATO rozwiązaniu uległa kwestia niemiecka jako problem europejskiego bezpieczeństwa.

Wiele dzieli drugie narodowe państwo niemieckie od pierwszego. Właściwie wszystko, co w bismarckowskiej Rzeszy należało do spraw armii i władzy zwierzchniej w państwie. Istnieją jednak także przejawy kontynuacji. Jako państwo konstytucyjne i państwo prawa, jako państwo związkowe i socjalne zjednoczone Niemcy wpisują się w tradycję, która sięga głęboko w XIX stulecie. Także kultura parlamentarna wykształciła się właśnie w czasach Cesarstwa. Istnieje też pewna kontynuacja przestrzenna pierwszego państwa narodowego. Traktat *2 plus 4*, który był prawnomiędzynarodowym aktem założycielskim zjednoczonych Niemiec, potwierdził bismarckowskie rozwiązanie małoniemieckie. W 1990 roku zjednoczono przecież to, co po 1945 roku pozostało z Rzeszy Bismarcka. Jest to pełna sprzeczności historia, z którą Niemcy muszą się pogodzić, jeśli chcą zrozumieć historyczne miejsce swej ojczyzny i jej pozycję w Europie.

Dziękuję Państwu za uwagę.

tłumaczenie: dr Krzysztof Ruchniewicz

Prof. Klaus Ziemer

Serdecznie dziękuję Panie Profesorze za ten bardzo skondensowany wykład. Obu dyskutantów właściwie nie trzeba przedstawiać, choć to jednak zrobić. Adam Krzemiński urodził się w zachodniej Galicji, ale dorastał we Wrocławiu. Studiował germanistykę w Warszawie i Lipsku, od początku lat 70. jest redaktorem „Polityki” i zajmuje się bardzo szerokim spektrum zagadnień dotyczących stosunków polsko-niemieckich. Napisał między innymi szeroko spopularyzowaną w Niemczech książkę – esej polityczny o Polsce w XX wieku. Jego głos bardzo liczy się zarówno w Niemczech, jak i w Polsce. Otrzymał cenione wyróżnienia za swoją działalność w dziedzinie dialogu polsko-niemieckiego, zarówno w sferze polityki, jak i życia intelektualnego.

Robert Traba urodził się w Węgorzewie (po niemiecku *Angerburg*), co w późniejszych latach również wywarło na niego pewien wpływ. Studiował na różnych uniwersytetach, co jak na zwyczaję przyjęte w Polsce jest dość niezwykle. Pod tym względem jak wiadomo niemiecka socjalizacja akademicka nieco różni się od polskiej. Studiował zatem raczej *na sposób niemiecki*, choć właśnie w Polsce. Jest absolwentem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, pracował w stacji naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego w Olsztynie i, co równie ważne, był przez kilka lat, w sumie chyba przez 7,5 roku, pracownikiem naukowym Niemieckiego Instytutu Historycznego. Założył między innymi naszą serię „Klio w Niemczech” i jest z nami nadal bardzo ściśle związany. Założył w Olsztynie Wspólnotę Kulturową „Borussia”, która ma na swoim koncie wiele zasług, również uhonorowanych w minionych latach cenionymi wyróżnieniami, zwłaszcza w Niemczech, ale także w Polsce. Od roku, co nas szczególnie cieszy, jest dyrektorem-założycielem naszego swego rodzaju odpowiednika, czyli Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie oraz autorem licznych prac naukowych i publicystycznych. Obecnie tłumaczona na niemiecki jest jego znakomita habilitacja, której tytuł brzmi „Wschodniopruskość” – co chyba można najlepiej oddać po niemiecku jako „Ostpreußentum”. Wydaje mi się, że również po polsku to pojęcie jest neologizmem. Chodzi o tożsamość narodową i regionalną w kulturze politycznej Niemiec. Praca ta dotyczy Prus Wschodnich do roku 1933 i jest chyba do tychczas najlepszą, napisaną po polsku regionalną historią Niemiec.

Dość już jednak wstępu, teraz chciałbym spytać obu panów: czy wykład Heinricha Augusta Winklera wzbudził również sprzeciw?

Adam Krzemiński

Nie wiem, czy to może być i będzie bezpośredni sprzeciw. „Długa droga na Zachód” to tak obszerna książka, a profesor Winkler w swoim wykładzie tak wspaniale i klarownie przedstawia główne tezy swego dzieła, że sam wykład nie może skłaniać słuchacza do sprzeciwu. Nie chcę też powtarzać rozmowy z profesorem Winklerem, którą pół roku temu przeprowadziliśmy we dwóch dla „Gazety Wyborczej” i którą można teraz przeczytać w pełnej wersji w obu językach na stronach internetowych Niemieckiego Instytutu Historycznego.

Pragnę jednak wspomnieć o moich dwóch reakcjach na „Długą drogę”. Przeczytałem tę książkę po raz pierwszy w 2001 roku, jeszcze przed 11 września, i była to dla mnie wspaniała opowieść i przedstawienie dziejów Niemców, a także ich dyskursu o sobie samych, z jasnym przesłaniem: teraz Niemcy jako państwo i jako naród dotarły do celu, zakotwiczyły na Zachodzie i są tam bezpieczne. Koniec komunikatu, koniec historii. Potem jednak, w tym roku, przeczytałem ją po polsku i zadałem sobie podstawowe pytanie: czy świat teraz nie jest przypadkiem inny niż wtedy, kiedy książka powstawała? Czy nie jest tak, że profesor Winkler opowiada nam dzieje wielkiego narodu w europejskiej historii, dzieje niemieckiej tradycji politycznej z jej strasznymi, ale też wspaniałymi fazami, których ostateczny cel – czyli właśnie owo zakotwiczenie na Zachodzie – już niezupełnie odpowiada rzeczywistości.

Tytuł ma charakter programowy: „Długa droga na Zachód”, przybycie na Zachód. Co jednak wtedy, jeśli nie ma już tego jednego Zachodu? Jeśli Zachód rzeczywiście rozpadł się we wrześniu 2001 roku i później? Nie mam teraz na myśli Zachodu Europy, lecz Zachód w szerszym rozumieniu, łącznie z Ameryką Północną. Teza tej książki i jej filozofii historii brzmi: naród niemiecki potrzebuje pewnych ram w postaci Zachodu, pewnego wkomponowania się w otoczenie, niejako w celu reasekuracji. Ramy te stanowi zaś, jak to dziś usłyszeliśmy, sojusz euroatlantycki – Unia Europejska i NATO, które tych Niemców poskramiają, a zarazem okcydentalizują, *westernizują*. Dzięki temu Niemcy nie muszą się obawiać samych siebie, ale także sąsiedzi i Europejczycy nie muszą się obawiać hipotetycznego niemieckiego powrotu do jakiejś hybrydy omnipotencji. Co jednak wtedy, jeśli Zachodu w tej postaci już nie ma?

To pytanie jest zadawane często. Postawiono je w roku 2003 wskutek rozłamu w UE z powodu wojny w Iraku i postawiono je później, kiedy w Niemczech prezydent USA miał gorszą prasę niż „demokrata bez skazy” na Kremlu – mimo jego

autorytarnych skłonności. Ale także dziś ta debata się nie zakończyła. Akurat w ubiegłym tygodniu ukazał się esej Jürgena Habermasa, przedrukowany w skróconej wersji w „Die Zeit”, którego tezy stoją w zdecydowanej opozycji do tez profesora Winklera. Profesor Habermas nadal upiera się przy tezie, że my, ludzie Zachodu czy Europy, UE, znajdujemy się wciąż w fazie postnarodowej, natomiast Pan, Panie Profesorze, odrzuca ją już jako nieudaną konstrukcję intelektualną. Ponadto, co stanowi rewizję stanowiska profesora Habermasa z roku 2003 – Europa nie może być przeciwwagą dla Ameryki, lecz musi dążyć do utworzenia swego rodzaju wspólnoty, dwubiegunowej wspólnoty z USA – z jednej strony Ameryka, z drugiej zaś zjednoczona Europa.

Dlaczego to podkreślam? Ponieważ ta stanowiąca normy instancja, zwana zjednoczoną Europą, zastępuje lub relatywizuje przynajmniej kategorie narodowe, które profesor Winkler akcentuje teraz z kolei silniej niż 10 lat temu, kiedy pisał swoją książkę.

Z tego właśnie wynikają moje pytania: w jakiej rzeczywistości fazie jesteśmy my, Europejczycy? Czy jesteśmy w tej postklasycznej, ale jednak narodowej fazie, gdzie mimo wszystko, tak jak to było już wcześniej, interesy narodowe i narodowy punkt widzenia, także na europejską historię, mają pierwszeństwo przed mglistym, lecz być może jednak realnym europejskim punktem widzenia?

Czy też odwrotnie: czy rzeczywistości jesteśmy na początku tej fazy postnarodowej, w której narody byłyby tylko historycznie potwierdzoną i dającą się przez historię opisywać *quantité negligible*? To znaczy, czy w XXI wieku wszystkie nasze narody staną się rudymenarne w stosunku do powstającego teraz bytu o nazwie Unia Europejska? Jest to pytanie zasadnicze.

Poza tym książka jest wspaniała i cieszę się, że ukazała się po polsku razem z „Niemieckimi dziejami w XIX i XX wieku” Golo Manna. Obie książki znacznie poszerzają naszą znajomość niemieckiej, europejskiej, ale być może również polskiej historii, ponieważ obie dają nam pewien wgląd w niektóre elementy *polskiego aspektu* niemieckiej historii, których nie znamy.

Prof. Robert Traba

Mam jedną *przeduwagę* i trzy problemy, z którymi chciałbym się z Państwem i z profesorem Winklerem podzielić. Moja *przeduwaga* dotyczy po pierwsze tego, że krótko przed ukazaniem się dzieła profesora Winklera, pojawiła się na polskim

rynku inna synteza historii, Niemiec książka Golo Manna – „Dzieje niemieckie XIX i XX wieku”. Książka, która co ciekawe, powstała prawie 50 lat temu. Tak więc po długim okresie posuchy związanej z syntetycznymi publikacjami na temat Niemiec, jednego roku nagle mamy dwie bardzo cenne publikacje. Ich oryginalne wydania dzieli pół wieku. Myślę, że czasami warto zaglądać jednak do obu książek. Co ciekawe oba dzieła powstały mniej więcej dekadę albo ciut więcej, po wielkich wydarzeniach i wielkich przełomach: po roku 1945 – Golo Mann (pierwsze wydanie w roku 1958) i dzieło profesora Winklera 10 lat po przełomie 1989/90. Obie syntezy próbują się zmierzyć z tematem, którego sens najogólniej wyraża pytanie: Co jest szczególnego w niemieckiej historii? Nie będę kontynuował porównania obu książek. Pozostawiam je refleksji profesora Winklera.

Zdaję sobie sprawę, że obaj, z Adamem Krzemińskim, siedzimy jako tło dla mistrza i Państwo chcą słuchać jego, a nie nas, ale pozwolę sobie jeszcze na jedną małą *przeduwagę*. Otóż już niedługo będziecie Państwo mogli na łamach kwartalnika „Borussia” (nr 43) przeczytać inny tekst profesora Winklera. Tekst traktuje o *zachodnich wartościach* w historii nowoczesnej Europy. Wymieniam go tu po to, bo w pewnym sensie jest przedłużeniem rozważań o *długiej drodze na Zachód*. Z tezami profesora Winklera jest trudno polemizować, tym bardziej, że, podobnie jak Adam Krzemiński, należą do fascynatów tej książki już od kilku lat, gdy ukazało się pierwsze wydanie niemieckie. Ale skoro nie zamierzam polemizować, chciałbym zajrzeć do tej książki nieco z boku. To z *boku* znaczy tyle, że zamiast wnikać w analizę tysiąca stron, chciałbym zapytać o to, co nie zostało napisane?

Zacznę od tytułu: „Długa droga na Zachód”. Co to znaczy? Gdybyśmy sobie wyobrazili pendant do tego tytułu, czyli jego proste odwrócenie, to by można pomyśleć, że książka jest opisem *długiego odchodzenia od Wschodu*. Co to znaczy? Odnoszę wrażenie, że *tego Wschodu* w książce Heinricha Augusta Winklera brakuje. Kategoria *Zachodu* nie ma znaczenia geograficznego. *Zachód* jest metaforą przede wszystkim odnoszącą się do systemu wartości. Gdybyśmy przeszli w rozumieniu *Zachodu* z poziomu metafory na poziom konkretów, to brakuje mi sensu rozumienia *Wschodu*. Czym był *Wschód* dla Niemiec? Wydaje mi się – nawet dzisiejsza debata to pokazuje – że nie do końca rozumiemy, iż niemiecka droga na Zachód powodowała oddalanie od *Wschodu*. Tego zjawiska się nie dostrzega, albo się go nie rozumie, chociaż niemiecka historia w nowoczesności mocno zakorzeniona była właśnie na Wschodzie.

Problem drugi. Książka pokazuje rozwój niemieckiego państwa narodowego. Każ-

dy autor tak szeroko zarysowanej syntezy ma prawo wybrać sobie racjonalny punkt początkowy, który jest pewną cezurą w rozwoju danego państwa. W książce pana Winklera taką cezurą początkową jest rok 1871. Przyzwyczajiliśmy się mówić, że wszystko niedobre zaczyna się wraz z państwem narodowym stworzonym przez kanclerza Bismarcka, a następnie kontynuowanym przez Wilhelma II. Spycha się przy tym na boczny tor fakt rozwoju narodu niemieckiego od końca XVIII wieku do powstania II Rzeszy. Spróbujmy spojrzeć na ostatnie dwieście lat historii Niemiec nie od strony rozwoju państwa, lecz nacjonalizmu rozumianego nie jako pojęcie wartościujące, lecz opisowe – jako idea narodowa. Trzy przykłady, które pokazują znaczenie przełomu XVIII/XIX wieku. Po pierwsze przypomnijmy sobie okres zaczynający się poezją Goethego oraz wojny wyzwolenicze w obronie przed francuską inwazją. W styczniu tego roku (2007) oglądałem dzieło Alberto Franchettiego, które miało tytuł „Germania”. Włoski Żyd napisał wiele lat temu wielką operę na cześć Germanii i ta Germania to jest wielkie wolnościowe hasło, które nieśli powstańcy przeciwko okupacji napoleońskiej w 1806 r. Po drugie hymn niemiecki, który – poza pierwszą zwrotką – jest do dzisiaj aktualny. Wszystkie trzy przykłady odnoszą się do istoty narodowego rozumienia Niemiec. Ten nacjonalizm, który profesor Dieter Langewische nazwał *nacjonalizmem federalcyjnym*, ma istotne znaczenie dla zrozumienia Niemiec w II połowie XIX i XX wieku. Bez niego niemożliwe jest zrozumienie zjawisk państwa narodowego.

Wreszcie trzeci problem: nazwałbym go *pamięć*. Profesor Winkler kończy swoją książkę tezą, że „*dieser Lange Weg nach Westen ist zu Ende gegangen*”. Została zakończona poprzez fakt zjednoczenia Niemiec i poprzez powstanie zjednoczonego państwa niemieckiego po upadku Muru Berlińskiego. Jest to oczywiście teza, z którą trudno polemizować. Z drugiej strony jest to teza, która dotyczy kategorii politycznych, społecznych, geopolitycznych. Ta kategoria nie dotyczy tego, czym jest *historia w głowach*. Czytając tę książkę i słuchając profesora Winklera, odnoszę wrażenie, że to *biologia kończy drogę na Zachód*, że z pewnymi problemami uporaliśmy się w sensie politycznym. W sensie świadomości historycznej, w sensie pamięci, one są nadal bardzo ciepłe, bardzo otwarte. Według mnie to właśnie pamięć pokolenia świadków wydarzeń krótkiego wieku XX zakończy procesy transformacji, *długą drogę na Zachód*. W kontekście niemiecko-niemieckim i polsko-niemieckim nie trzeba by szukać daleko przykładów. Czy zastanawiał się Pan nad napisaniem rodzaju epilogu do swojej książki, dotyczącego pamięci analizowanych przez Pana ponad 100-letnich przemian społeczeństwa niemieckiego? Jak od tej strony wyglądałaby *droga na Zachód*? Myślę, że mogłoby to być niezwykle cenne uzupełnienie rozważań.

Prof. Heinrich August Winkler

Bardzo serdecznie dziękuję obu dyskutantom i spróbuję krótko, ale mam nadzieję nie nazbyt krótko ustosunkować się do bardzo istotnych wypowiedzi Adama Krzemińskiego i Roberta Traby. Szanowni Państwo, po pierwsze ważne wydaje mi się to, na ile istnieje rozbieżność pomiędzy Jürgenem Habermasem i mną. Rzeczywiście, pojęcie *postnarodowy*, tak jak stosuje je Jürgen Habermas, pochodzi pierwotnie od cytowanego przeze mnie uprzednio Karla Dietricha Brachera, który po raz pierwszy użył tej formuły w 1976 roku w postłowie do 5. wydania swojej książki „Die deutsche Diktatur”: „Republika Federalna to postnarodowa demokracja wśród państw narodowych”. Było to zwrócenie uwagi na pewną specyfikę RFN. W recepcji tego pojęcia przez Jürgena Habermasa wypadła końcówka *wśród państw narodowych*. Habermas w latach 90. mówił już generalnie o *konstelacji postnarodowej*. W podobny sposób nastąpiła transformacja pewnego pojęcia, które odegrało znaczną rolę w toczonej w RFN dyskusji – chodzi o pojęcie *patriotyzm konstytucyjny*. W intencji jego twórcy, publicyści i politologa Dolf Sternbergera odnosiło się ono niewątpliwie do Ustawy Zasadniczej – niemieckiej konstytucji, należącej do kontekstu historii niemieckiego konstytucjonalizmu. U Jürgena Habermasa pojęcie *patriotyzm konstytucyjny* nabrało charakteru już nie więzi z określoną konstytucją niemiecką, lecz ze swego rodzaju *ogólną duchową konstytucją Zachodu* – jak wyraził się Habermas w swoim przyczynku do *sporu historyków* w 1986 roku, który uprzednio cytowałem.

Myślę, że w odniesieniu do współczesności, a tego właśnie dotyczyło pytanie pana Adama Krzemińskiego, ważne jest, by nie insynuować Unii Europejskiej intencji pozbawiania narodu jego znaczenia. Chce ona natomiast, moim zdaniem słusznie, jedynie przekroczyć jego ograniczenia. Więcej jednak nawet nie powinna chcieć. Niemiecki historyk Hermann Heimpel, sławny w swej specjalności, politycznie natomiast dość kontrowersyjny, napisał w latach pięćdziesiątych: „Fakt istnienia narodów jest tym, co historycznie stanowi o europejskości Europy”. Być może należałoby powiedzieć, że fakt istnienia narodów jest jedną z cech Europy, ale sądzę, że te słowa zmuszają do myślenia. Pragnienie przewyżczenia narodów nie byłoby europejskie, a podsycanie narodowych lęków przed utratą tożsamości nie służyłoby sprawie Europy.

W sformułowaniu *postnarodowy* kryje się zresztą element teleologii – wiara, że historia potoczy się tak, że naród stanie się kiedyś zjawiskiem należącym do przeszłości. To być może prawda, ale nie sądzę, że już żyjemy w tej epoce lub że jej jeszcze dożyjemy i nie sądzę bynajmniej, że powinniśmy do tego stanu koniecznie

dążyć. Przynajmniej nie w sensie takiego ujednoczenia, kiedy na koniec pojawi się jeszcze postulat „Wszyscy powinniśmy mówić już tylko po angielsku”, jakkolwiek angielski z uzasadnionych powodów stał się *lingua franca* zrastającej się Europy. Droga powinna więc prowadzić nie w stronę odchodzenia od narodów, lecz wniknięcia w różnice pomiędzy narodami oraz – oprócz tego, co nas w przeszłości dzieliło – także w to, co narody europejskie ze sobą łączyło. Sam przy tym wciąż podkreślam wspólne tradycje prawne, nie tylko w odniesieniu do recepcji prawa rzymskiego czy prawa kościelnego, lecz również praw miast. I tu właśnie akurat historia polsko-niemiecka dałaby wiele okazji do refleksji na temat wspólnych tradycji prawnych.

Doszedłem tu do bardzo zasadniczego problemu: jakie pojęcie Zachodu leży właściwie u podstaw mojego dwutomowego dzieła o niemieckiej drodze na Zachód? Jest to historyczne, a zarazem normatywne pojęcie Zachodu. Nie jest to pojęcie Zachodu, jakie przyjęło się w czasie zimnej wojny. Wtedy do Zachodu należał ten, kto należał do sojuszu zachodniego, także państwa, które historycznie nie należały do starego Zachodu, jak choćby Grecja czy Turcja, których członkostwo w NATO niekiedy trzeba było zawieszać, gdy u steru znajdowała się akurat dyktatura. Historyczne pojęcie Zachodu jest ściśle związane, i jak sądzę w Polsce nie trzeba tego rozgłaszać, bo wszyscy to wiedzą, z podziałem na Kościół wschodni i zachodni. Tylko na obszarze Kościoła zachodniego rozwinęły się w średniowieczu oba rodzaje przednowoczesnego podziału władz, na których opiera się nowoczesny podział władz – oddzielenie władzy książęcej od stanowej oraz duchownej od świeckiej. Bez tych średniowiecznych podziałów – tak brzmi moja teza – nie byłby możliwy nowoczesny podział władz w rozumieniu Monteskiusza, oddzielenie władzy ustawodawczej, wykonawczej i sędowniczej. Tylko na obszarze Kościoła zachodniego dokonało się owo samooswiecenie chrześcijaństwa, bez którego zupełnie nie można by sobie wyobrazić oświecenia. Miały tu miejsce ruchy emancypacyjne od humanizmu i renesansu przez reformację aż właśnie po oświecenie. Tylko tu powstały idee niezbywalnych praw człowieka – najwyraźniej wiąże się to bardzo silnie z doświadczeniem owego przednowoczesnego podziału władz, który nie oddział – przynajmniej nie w sposób zasadniczy – na część Europy znajdującą pod wpływem prawosławno-bizantyjskim, ponieważ władza duchowna pozostała tam podporządkowana władzy świeckiej i ponieważ nie było tam takiej opozycji choćby pomiędzy stanami i książętami czy pomiędzy miastami i książętami jak na Zachodzie.

Pod tym względem zainspirował mnie pewien polski historyk, a także pewien historyk węgierski. Ten polski historyk to Oskar Halecki, a węgierski to Jenő Szűcs,

który przykłada wielką wagę do tego, by przedstawiać Europę Środkową czy Europę Środkowo-Wschodnią jako wschód Zachodu, jako strefę przejściową, która jednak jest w znacznej mierze związana z Zachodem. Jest to, jak Państwo widzą, odpowiedź na oba głosy w dyskusji, teraz także odnosząca się w dużej mierze do wystąpienia Roberta Traby. Moje pojęcie Zachodu to z jednej strony pojęcie historyczne, na które silnie oddziaływały prace Maksa Webera i Ottona Hintze. Jest to zarazem również pojęcie normatywne. Normatywne pojęcie Zachodu oznacza, że podstawą naszego rozumienia polityki są współcześnie wciąż owe wartości zachodnie, które można rozumieć wyłącznie jako efekt współpracy transatlantyckiej. Wartości roku 1776 i 1789, wartości, które bez rewolucji amerykańskiej, bez rewolucji francuskiej nie weszłyby w tej postaci do agendy europejskiej. Stąd też mój bez mała namiętny apel, by nie definiować ani nie profilować Europy przeciwko Ameryce. Bowiem wszystko, co określamy mianem kultury politycznej Zachodu, ma korzenie co najmniej w równym stopniu amerykańskie co europejskie. To zaś u Habermasa, gdy wraz z Derridą opublikował swój manifest z 2002 roku, nie doszło w każdym razie tak wyraźnie do głosu jak w jego nowszej koncepcji dwubiegunowego Zachodu, gdzie Ameryka i Europa nadal zachowują wzajemny związek. Nie wiem, czy wystawianie Jürgenowi Habermasowi świadectwa odbycia pewnego procesu myślowego nie jest arogancją, ale przyniosłoby mu to tylko chlubę, jeśli w tych kwestiach różnicowałby swoje stanowisko i dalej je rozwijał.

A zatem pojęcie Zachodu to z jednej strony pojęcie historyczne, wiążące się ze znakami, które mają swe źródła w odległej historii, z drugiej zaś strony pojęcie normatywne. To znaczy, że oceniam państwa, które same uważają się za zachodnie, również według tego, czy przestrzegają swoich wartości. Musi to oczywiście dotyczyć także Ameryki. Spór o wojnę w Iraku pokazuje bardzo wyraźnie, że w Ameryce, tak samo jak w Europie, świadomie czy też nie, za podstawę przyjmuje się wartości zachodnie. Krytyka Guantanamo to krytyka naruszania wartości zachodnich. Dzieje Zachodu można by opisać bez mała jako dzieje nie tylko niejednoczesnego wdrażania tych wartości w różnych krajach starego Zachodu, lecz również jako historię permanentnych sprzeczności pomiędzy wartościami a rzeczywistością, pomiędzy szczytnymi założeniami idei roku 1776 i 1789 a pozostającą za nimi w tyle rzeczywistością. Tytułem przykładu: ojcowie Amerykańskiej Deklaracji Niepodległości byli po części właścicielami niewolników i poniekąd nie mogli umieścić tematu niewolnictwa na liście zakazów, ponieważ w przeciwnym wypadku nigdy nie byłoby tej Deklaracji i w ogóle nie doszłoby do walki z metropolią kolonii, czyli Wielką Brytanią. Minęło potem przecież jeszcze 90 lat, zanim w wyniku krwawej wojny domowej zniesiono niewolnictwo, i kolejnych 100 lat, zanim

można było mówić o prawie zupełnym zniesieniu dyskryminacji potomków niewolników w Ameryce.

Wspominam o tym dlatego, że moja teza brzmi: kiedy my, Europejczycy, spieramy się z Amerykanami o zagadnienia ze sfery kultury politycznej i wartości, to spieramy się o różną interpretację tych samych wartości. To jest ten Zachód, który stanowi dla mnie punkt wyjścia, a przeciwstawnym mu pojęciem jest niekoniecznie Wschód. Jest nim natomiast, kiedy myślę o Niemczech, ewolucja kraju, który pod względem kultury i ustroju społecznego należał do Zachodu, wraz z innymi nadał Zachodowi określony kształt, wniósł decydujący wkład w oświecenie, a mimo to długo odmawiał uznania płynących stąd wniosków politycznych, czyli idei roku 1776 i 1789. Czyli przynależność do Zachodu pod względem kulturowym i społecznym oraz jednocześnie wzbranianie się przed przyjęciem wartości, wartości politycznych Zachodu, czy też tego, co określa się mianem *kultury politycznej Zachodu*. Ten proces wszedł w nową fazę po 1945 roku, kiedy to zachodnia część Niemiec podczas drugiej próby stworzenia demokracji stopniowo przewyciężyła swoje antyzachodnie uprzedzenia. Do tego kontekstu należy ów cytat z Habermasa o otwarciu się Republiki Federalnej bez zastrzeżeń na kulturę polityczną Zachodu.

Nie sądzę, że ten proces jest zakończony. Będzie on się toczył dalej, bowiem sam projekt zwany Zachodem jest i prawdopodobnie pozostanie projektem niedokończonym. I dlatego moim zdaniem do refleksji o tradycji Zachodu, którą Niemcy w wymiarze politycznym przyswoiły sobie dopiero w toku żmudnego procesu, należy kontynuowanie refleksji o przyczynach tego, co odróżnia Niemcy od Zachodu. Wtedy zaś bardzo szybko dojdziemy do tego wszystkiego, co właśnie poruszył Robert Traba, także w relacjach pomiędzy Niemcami a Polską, aż po tradycję rasizmu, która istniała w niemieckim stosunku do Polski w XIX i XX wieku.

W ten zaś sposób dotarłem do epilogu, o który apelował Robert Traba. Istnieje poniekąd kilka idących w tym kierunku prób, zamieszczonym w wydanym właśnie niewielkim tomie esejów pod tytułem „Auf ewig Hitlers Schatten? Über die Deutschen und ihre Geschichte“ („Wieczny cień Hitlera? O Niemcach i ich historii“). Przedrukowano w nim zresztą niektóre teksty dotyczące tematu stosunków polsko-niemieckich. Jednym z nich jest esej o polskim wyzwoleniu i niemieckim zjednoczeniu – to był wykład ku czci Willy’ego Brandta, wygłoszony we Wrocławiu przed 5 laty. Znalazł się tam też esej o trudnościach Europy z wypracowaniem wspólnego obrazu stulecia skrajności – wykład, dotyczący w znacznej mierze drugiego wschodnioeuropejskiego doświadczenia dyktatury oraz zagadnienia, jak

cała Europa traktuje holocaust, także rolę współników, jaką niektórzy w nim odegrali. Jest tam wreszcie również mój wykład o zachodniej wspólnotocie wartości. Są to zatem próby wyjścia poza ten stan refleksji, który osiągnąłem około 2000 roku, kiedy ukazały się dwa tomy „Długiej drogi na Zachód”. To była moja prowizoryczna odpowiedź na inspirujące wystąpienia Adama Krzemińskiego i Roberta Traby.

Prof. Klaus Ziemer

Bardzo dziękuję. Minęło już sporo czasu, ale mimo to kusi mnie, jeśli wolno mi nieco nadużyć roli prowadzącego dyskusję, żeby zapytać o coś, co poruszał Pan wielokrotnie w swojej książce – jest wiele punktów, w których kwestie polskie i niemieckie stykają się ze sobą – 1848, 1871, 1918, 1939, 1945, 1990. Nie mamy teraz czasu, żeby zająć się tym szczegółowo. Nasunęło mi się to jednak na myśl, kiedy powiedział Pan wcześniej w wykładzie: „Doświadczenie lat 1933-45 pozbawia Niemcy antyzachodnich resentymentów”. To z pewnością słuszne. A jak jest z resentymentami antypolskimi? Czy da się coś powiedzieć na ten temat? W roku 1945 na pewno były one jeszcze obecne. A doświadczenie lat 1933-45, właśnie jeśli chodzi o narodowosocjalistyczną politykę wobec Polski, powinno było właściwie stać się przedmiotem refleksji po wojnie. Myślę jednak, że świadomość tego zrodziła się w dużej części społeczeństwa dopiero w latach 90., jeśli w ogóle. Być może to kwestia pokolenia, ale podczas niektórych dyskusji, zwłaszcza z ludźmi starszego pokolenia w Niemczech, można zauważyć, jak silnie oddziałuje jeszcze antypolska propaganda owego okresu.

Odnosnie do zagadnienia poruszonego przez Roberta Trabę – Niemcy nie rozumieją Wschodu. Wśród elit politycznych zdarza się często, że nie można znaleźć wspólnego języka, że nadaje się na różnych falach, ponieważ ma się za sobą odmienną socjalizację i odmiennie doświadczenia. Z tego względu chciałbym jeszcze raz zadać pytanie: na ile Niemcy, po tym jak mentalnie znalazły się na Zachodzie, podjęły już próbę uporządkowania swoich relacji także ze wschodnimi, bezpośrednimi wschodnimi sąsiadami – Polską i Czechami?

Prof. Heinrich August Winkler

Po pierwsze, mam nadzieję, że wyraźnie zabrzmiało, jak bardzo podpisuję się pod poglądem, że Polska jest częścią starego Zachodu, w tym historyczno-patetycznym rozumieniu, w jakim jak najbardziej powinniśmy używać tego pojęcia. Byłby to przecież w gruncie rzeczy relikwyt myślenia w kategoriach zimnej wojny, gdybyśmy chcieli trwale przypisać pojęcie Zachodu i Wschodu do linii frontu z okresu pomiędzy rokiem 1945 i 1989/90. Kto zatem praktykuje lub próbuje mobilizować

w Niemczech antypolskie resentymenty, działa w sposób głęboko antyzachodni i bynajmniej nie przyswoił sobie wartości Zachodu, który poczuwa się do idei niezwykłych praw człowieka. Kiedy byłem asystentem, robiło na mnie duże wrażenie, gdy od Richarda Löwenthala, jednego z moich senior colleagues w Instytucie im. Ottona Suhra Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego słyszałem wciąż argument, że pod wieloma względami Polska była bardziej zachodnia niż Niemcy – chodziło mu o sposób myślenia polskich elit. To mógłby być ewentualnie kolejny temat do dyskusji. Silny resentyment antyzachodni, przepojony w pewien sposób tradycją luteranizmu, to już coś bardzo specyficznie niemieckiego i prawdopodobnie ma stosunkowo niewiele odpowiedników w dziejach Polski. Wszelkie resentymenty wobec sąsiadów z Europy Środkowo-Wschodniej pochodzą, mówiąc polemicznie, z niemiecko-narodowego lamusa, który nie powstał przecież dopiero po roku 1918, czyli w okresie międzywojennym. Są one przejawem myślenia w kategoriach niemieckiego antyzachodniego nacjonalizmu, który ukształtował się w znacznej mierze w okresie Bismarcka, zwłaszcza od drugiej połowy lat 70. XIX wieku, kiedy pojęcie *narodowy* stopniowo przestawało być pojęciem liberałów i stało się pojęciem używanym w walce politycznej przez prawicę. Aż do założenia Rzeszy *być narodowcem* oznacza być przeciwko feudalizmowi, partykularyzmowi. A mniej więcej 10 lat później *być narodowcem* oznacza być antyinternacjonalistą, antymarksistą, często antykatolikiem, często też być przeciwko kapitalizmowi wielkich banków, być antysemitą. Ta rozpoczęta wtedy zmiana funkcji pojęcia nacjonalizmu oczywiście pokutuje nadal w niektórych głowach.

Przypuszczam, że jeszcze dziś istnieje wewnątrz Niemiec pewna różnica pomiędzy Wschodem i Zachodem. Wiele uprzedzeń udało się na Zachodzie skutecznie zwalczyć dzięki licznym dyskursom i debatom, zwłaszcza podczas sporu historyków. Istniała możliwość otwartej dyskusji na ten temat. W NRD wiele tych rzeczy przetrwało jak w zamrażalniku, po czym po roku 1990, od kiedy znów można się było swobodnie wypowiadać, w niekiedy przykry sposób znów wypłynęło na powierzchnię. Należałoby się również zastanowić, czy to nie właśnie dyskusja, także ze Związkiem Wypędzonych w RFN, doprowadziła do wyklarowania sytuacji, którego w NRD w porównywalnej formie zabrakło. Istnieje moim zdaniem duża różnica, jeśli chodzi o stosunek do Polski, pomiędzy pierwszą i drugą republiką niemiecką. W Weimarze rzeczywiście panował szeroki konsensus antypolski, który stanowił główny aspekt niemieckiego konsensusu rewizjonistycznego. Ten ostatni był jak wiadomo faktem, podczas gdy konsensus konstytucyjny nie istniał. W obrębie klasy politycznej antypolonizm spotyka się obecnie jak sądzę z podobnym potencjalnym jak antysemityzm. Gdyby jakiś mówca w Bundestagu pozwolił

sobie na antypolskie ekscesy, podniosłoby się wielkie oburzenie nie tylko w parlamencie, także ze strony niemieckiej opinii publicznej. To, iż poniżej poziomu tak zwanej *klasy politycznej* wygląda to inaczej, jest chyba prawdą. A mimo to różnica w stosunku do Weimaru polega na tym, że przynajmniej oświeceni Niemcy wiedzą, do czego doprowadziły owe nacjonalistyczne resentymenty, a mianowicie do katastrofy.

Prof. Klaus Ziemer

Bardzo dziękuję! Panie i Panowie, teraz pragnę także Państwu dać możliwość zadawania pytań.

Prof. Jerzy Holzer PAN

Chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami. Rzeczywiście, Niemcy pomaszerowały na Zachód, ale w gruncie rzeczy możemy powiedzieć „Europa pomaszerowała na Zachód”. Jeżeli się nad tym zastanowimy, to dojdziemy do wniosku, że, poza Rosją, która miała pewne wahania, czy też pomaszerować na Zachód czy nie i wybrała w końcu drogę własną, Europa poszła na Zachód. Tylko: co właściwie to pojęcie Zachodu oznacza? Tak naprawdę określa ono kilka krajów. Do nich pomaszerowało i Południe i Wschód. Tych kilka krajów to: Wielka Brytania, Francja, Belgia, Holandia, nieco później Skandynawia. To do nich pomaszerowała cała reszta. Natomiast bardzo istotną dla tego, o czym Heinrich August Winkler pisał, a także tutaj mówił, jest szczególna sytuacja niemiecka. Niemcy były jedynym z państw, krajów, narodów, które pomaszerowały na Zachód, żywiąc przedtem aspiracje do tworzenia centrum wzorców europejskich, alternatywnego do zachodniego, nazwijmy to francusko-brytyjskiego. Jak o tym Heinrich August Winkler pisał, doktryna państwa narodowego w pewnym sensie uprawniała do tego Niemcy. Było to w Europie państwo narodu najliczniejszego i znajdującego się w najkorzystniejszej geopolitycznej sytuacji. Można do tego dodać: państwo z wyjątkowo wysokim poziomem rozwoju gospodarczego, w każdym razie w porównaniu ze wszystkimi innymi, które się znajdowały poza zachodnioeuropejskim, francusko-brytyjskim centrum. Myślę, że niemiecka specyfika pójścia na Zachód była bardzo istotna, co zostało przez Winklera wykazane. Raz jeszcze: samo pójście na Zachód jest powszechnym procesem europejskim, a przynajmniej mamy taką optymistyczną nadzieję, że stało się powszechnym procesem europejskim, przynajmniej na Zachód od Rosji i od Białorusi.

Marek Getter, PAN

Aby nie przedłużać zbędnie dyskusji, Kongres Wiedeński uporządkował tak sytu-

ację w Środkowo-Wschodniej Europie, że wystarczyło pokoju na 100 lat, ponieważ interesy Rosji i Niemiec, rozumianych jako Królestwo Pruskie, jako Cesarstwo Niemieckie, były tak wyrównane, że było 99 lat pokoju. Ale przychodzi rok 1866 i uboższy krewny Habsburgów, uboższy i materialnie i duchowo i nieco prostacki – Hohenzollern – upokarza Monarchię Austriacką i od tego czasu staje się jasne, że przynajmniej w zakresie wojskowym Austria pozostanie w trwałym sojuszu z rozwijającym się państwem niemieckim. Drugi moment taki bardzo istotny 38. rok – Anschluss Austrii – i wtedy urzeczywistnia się coś, co było do tej pory hasłem – *Ein Volk, ein Reich*. I pomijając późniejsze dzieje mamy zjednoczoną Europę, w której ten jakby ponowny Anschluss, przynajmniej pod względem gospodarczym, pod względem tego samego pieniądza, unifikacji prawa cywilnego, w sposób jakby rzeczywisty następuje. I moje pytanie końcowe jest takie: czy kiedy mówimy, i dzisiaj żeśmy słyszeli, o tej historii Niemiec w wieku XIX i XX, bogatej, obszernej i skomplikowanej, czy dziedzictwo Habsburgów wchodzi w skład tej historii Niemiec? Czy też nie wchodzi i stanowi odrębny temat badawczy i poznawczy? Czy jest to jedno dziedzictwo, ja nie chcę użyć tutaj słowa *wielkoniemieckie, großdeutsche*, ale *allgemeindeutsche* – *ogólnoniemiecki*?

Stefan Raabe, Fundacja Konrada Adenauera w Polsce

Chcę zadać dwa pytania. Żeby było sprawiedliwie, najpierw jedno do przedstawicieli Polski, a następnie jedno do niemieckiego referenta. Obserwacja, że po drugiej wojnie światowej w Niemczech, przynajmniej początkowo na zachodzie Niemiec, raczej nie było już resentymentów wobec *cywilizacji zachodniej*, że te resentymenty że tak powiem wymarły, skłoniła mnie do zastanowienia się, jak to wygląda w Polsce, także w kontekście rozwoju sytuacji politycznej w ostatnich dwóch latach? Czy właśnie w narodowo-konserwatywnych kręgach w Polsce nie ma pewnego resentymentu wobec Zachodu? Być może dowodzi tego sprawa unijnej Karty Praw Podstawowych, ponownie dyskutowanej obecnie w Polsce. Nie tylko partia Prawo i Sprawiedliwość, lecz także polska konferencja biskupów odrzuca tę kartę. Czy nie daje się tu zauważyć pewnego resentymentu wobec liberalnej i pluralistycznej cywilizacji zachodniej?

Pytanie drugie jest adresowane do pana profesora Winklera: czy po trwającym setki lat parciu Niemców na Wschód i przedstawionej przez Pana długiej drodze Niemiec na Zachód nie szykuje się teraz ponowne silniejsze zwrócenie się na Wschód? Wskazują na to dwie okoliczności: po pierwsze oczekiwane zdefiniowanie niemieckiego, a także europejskiego stosunku do Rosji – to pytanie jest przecież jeszcze całkowicie otwarte. Kilka miesięcy temu dyskutowaliśmy o tym

w tej sali z dwoma niemieckimi politykami z SPD i CDU, specjalizującymi się w polityce zagranicznej. Pan Schockenhoff, polityk CDU, bronił w tym kontekście tezy o możliwym partnerstwie z Rosją, opartym na wspólnych wartościach. Drugą sprawą jest to, że do tego nowego parcia na Wschód zagrzewa właśnie Polska, ponieważ Polska z naturalnych powodów jest bardzo zainteresowana tym, by Europa rozszerzała się teraz na Wschód, a zatem w jeszcze większym stopniu niż dotychczas przekraczała również tę wspomnianą przez Pana kulturową linię, dzielącą Europę ukształtowaną przez wschodniorzymskie prawosławie od Europy Zachodniej.

Prof. Heinrich August Winkler

Spróbuję odpowiedzieć najzwyczajniej jak się da. Pytanie pierwsze dotyczyło niemieckiego parcia na Wschód, a zwłaszcza tego nurtu niemieckiego myślenia, który wypisał sobie na sztandarach hasło *przestrzeni życiowej na Wschodzie*. Mniej więcej dwa lata temu frankfurcki historyk i publicysta Gerd Koenen opublikował książkę o niemieckim kompleksie Rosji – analizę fascynacji Rosją, głównie w postaci idealizowania niemieckiej i rosyjskiej duchowości, rozumianej jako pokrewieństwo duchowe. To zjawisko odgrywało znaczną rolę w okresie Republiki Weimarskiej. Nawet Tomasz Mann, pozostający pod wpływem kultu Dostojewskiego, nie był wolny od pokusy idealizowania irracjonalnych cech wspólnych Rosjan i Niemców. Tomasz Mann jednak najwcześniej zrozumiał, do czego doprowadziła ta skłonność i stał się prekursorem okcydentalizacji Niemiec mniej więcej od roku 1921, kiedy zaczął bronić republiki przed pogardzającymi nią przedstawicielami prawicy.

W Republice Weimarskiej niemiecki sentyment do Rosji pozostał nurtem podskórnym już choćby dlatego, że znacznie silniejszy był antybolszewizm. Oddziaływanie odstraszonego przykładu Rosji Sowieckiej było silniejsze niż fascynacja z lewa czy z prawa. Ci Niemcy, którzy reprezentowali program *przestrzeni życiowej na Wschodzie*, zresztą nie dopiero za Hitlera, lecz także już podczas pierwszej wojny światowej, byli bez wyjątku najzacieklejszymi wrogami Zachodu i politycznej orientacji Niemiec na Zachód. Myślę przede wszystkim o *Wszechniemcach*, którzy należeli do właściwych prekursorów idei *przestrzeni życiowej na Wschodzie* w XX wieku. Nie znajdowali się oni w każdym razie w opozycji do antyzachodniego głównego nurtu niemieckiego myślenia politycznego. Pod tym zaś względem rok 1945 oznacza rzeczywiście wyraźną cezurę, bo dlatego właśnie, że Niemcy były podzielone na demokratyczny Zachód i rządzony przez komunistów Wschód, nie można było już raczej robić politycznych interesów przez idealizo-

wanie niemiecko-rosyjskich cech wspólnych. Fakt, że mocarstwa zachodnie w imię antytotalitarnego konsensusu zrehabilitowały niemiecki antykomunizm, także ten, który bynajmniej nie miał charakteru demokratycznego, z pragmatycznego punktu widzenia ułatwił otwarcie na Zachód. Istniało poczucie bycia *na tym samym wózku*. W końcu pojawił się antytotalitaryzm umotywowany demokratycznie, do którego istotny wkład wniósł wspomniany uprzednio Richard Löwenthal, autor, który niezależnie od wszystkich różnic jasno widział również podobieństwa władzy totalitarnej proveniencji faszystowskiej i narodowosocjalistycznej z jednej strony, a bolszewickiej z drugiej strony. Także to ułatwiło związanie Niemiec z Zachodem po 1945 roku, związanie Republiki Federalnej z Zachodem. Nawiązywanie do analizowanej przez Koenena irracjonalnej niemieckiej sympatii prorojskiej było po 1945 roku po prostu ideologią bez odbiorców.

W rozdziale pierwszym mojej „Długiej drogi na Zachód” omawiam trzy podstawowe fakty niemieckiej historii. Pierwszy to Rzesza, która chciała być więcej niż narodem i rościła sobie pretensje do osadzonego w jej czasach posłannictwa. Drugi to podział wyznaniowy. Trzeci to opozycja Prus i Austrii. Analizuję więc obszernie wpływ Austrii na myślenie polityczne w Niemczech, podkreślam jednak zarazem, że Austria wypadła z głównego nurtu myślenia politycznego w Niemczech. Zwłaszcza po 1815 roku było to bardzo wyraźne, kiedy Austria Metternicha z nadzwyczajną surowością i ostrością izolowała się od wszelkich dążeń liberalnych i demokratycznych, co uniemożliwiło udział Austrii w ruchu narodowego zjednoczenia w roku 1848. Prawdą jest, że Bismarck poprzez dwuprzymierze z Cesarstwem Habsburskim próbował poniekąd naprawić skutki konfliktu w 1866 roku. Niezwykle interesujący zamysł, który zresztą wcale nie był daremny, jeśli pomyśleć o *braterstwie broni* podczas pierwszej wojny światowej. Moim zdaniem nie da się jednak zaprzeczyć, że pomiędzy Cesarstwem Habsburskim i pierwszym niemieckim państwem narodowym istniały ogromne różnice. Przypominam, iż wielki czeski historyk František Palacký uzasadniał obronę przed próbą utworzenia pierwszego niemieckiego państwa narodowego między innymi tym, że gdyby nie było monarchii habsburskiej, to trzeba by ją było wymyślić, żeby stworzyć bastion przeciwko monarchii uniwersalnej na modłę rosyjską. Istniały zatem uzasadnienia *raison d'etre* monarchii habsburskiej, których nie dawało się pogodzić z niemieckim myśleniem w kategoriach państwa narodowego. Z tego względu moja odpowiedź na pytanie o wspólne dziedzictwo byłaby bardzo zróżnicowana. Różnice są bardzo wyraźne, przynajmniej dopóki istniała monarchia habsburska.

Króciutko odnośnie ostatniego pytania pana Raabe – czy istnieje nowa niemiecka

droga na Wschód? Jest kilku niemieckich polityków lub byłych polityków, którzy wyrażają ostatnio pogląd, że na szczęblu bilateralnym można utrzymywać niemiecko-rosyjską special relationship. W zeszłym tygodniu czytałem w „Süddeutsche Zeitung” artykuł Erharda Epplera, który skłonił mnie do napisania repliki. Mam nadzieję, że ukaże się ona niebawem w „Süddeutsche Zeitung” (ukazała się 21 grudnia 2007 roku – H.A.W.). Główna teza, która mnie szczególnie sprokowała, brzmiała – cytuję chyba w miarę dosłownie: „W porównaniu z czystkami stalinowskimi i obłudą rasowym Hitlera, sterowana demokracja Putina jest wysoce humanitarna.” Ponieważ nie podpisuję się pod tą opinią i sądzę, że niekiedy zaciera się różnica pomiędzy relatywizacją i cynizmem, uważam, że tego rodzaju mentalnemu odwrotowi od Zachodu trzeba się koniecznie z całą mocą przeciwstawić. Czy zaś istnieje oparte na wspólnych wartościach partnerstwo z Rosją? Myślę, że każdy by się cieszył, gdyby tak było. Niestety obecnie jest mało przesłanek do takich nadziei, dlatego jestem ostrożny nawet jeśli chodzi o tak utarte już sformułowania jak *strategiczne partnerstwo*. Jeszcze nikt nie potrafił mi wytłumaczyć, co to właściwie ma oznaczać w praktyce. Warunkiem istnienia takiej wspólnoty wartości byłoby chyba jednak praktykowanie w Rosji zarówno praw człowieka i praw obywatelskich, jak i podziału władz, niezależności wymiaru sprawiedliwości, *checks and balances* oraz *rule of law* – ach, gdyby tak rzeczywiście było!

Adam Krzemiński

Naturalnie moglibyśmy mówić tutaj również o polskiej *długiej drodze na Zachód*. Oczywiście były w Polsce również antyzachodnie resentymety i to nie tylko dziś, lecz także w XVIII wieku. Obecny tu profesor Jerzy Jedlicki napisał znakomitą książkę, nie jedną z wielu książek, lecz książkę wybitną – „Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują?”. Wspomina się w niej także o awersjach antyzachodnich. Profesor Janusz Tazbir pisał zgoła o pewnych *orientalnych* rysach dziejów Polski w XVII i XVIII wieku. Także w XX wieku wywoływały one niebezpieczne skutki, co przejawiało się na przykład w odruchowej reakcji „Zachód zdradził Polskę” – od Napoleona po Churchilla. Tymi antyzachodnimi impulsami żywili się też komuniści po 1945 roku, mówiąc: „Patrzcie, Zachód jest egoistyczny i broni tylko swoich interesów, Polsce nie pozostaje więc nic innego niż oprzeć się na stalinowskim Związku Radzieckim, bo tylko w ten sposób granica na Odrze i Nysie będzie bezpieczna...”. Dziś tego sposobu myślenia już nie ma, chociaż wśród narodowych katolików nadal występują odruchy antyzachodnie; uważają oni, że Zachód to libertynizm, więc trzeba się od tego złego Zachodu izolować. Polskich zastrzeżeń do Karty Praw Podstawowych nie wrzucałbym jednak do tego worka. Bowiem także Watykan

pod rządami niemieckiego papieża podchodzi do Karty dość nieufnie. A zatem także CDU, przynajmniej katolicka część CDU, powinna być nieufna, tak jednak nie jest. W Polsce skomplikowany kompleks antyzachodni czy też antyzachodnie re-sentymenty są silnie związane z impulsem antyosiwieceniowym. Oświecenie poj-mowano jako dalszy ciąg reformacji, niebezpieczny dla kontrreformacyjnych kon-cencji Europy katolickiej.

Prof. Leszek Żyliński, Uniwersytet Mikołaja Kopernika

Panie Profesorze, Pańska analiza, Pańska teza wydaje się niezmiernie przekonująca, ponieważ należymy do tej samej wspólnoty wartości. To, czemu moim zdaniem Pańska analiza poświęciła zbyt mało uwagi, to kultura. Tutaj też zaczynają się moje wątpliwości. Czy kultura niemiecka – to jest pytanie, może nieco prowokacyjne pytanie – nie jest tak trochę genetycznie wyposażona w paradygmat, który, że tak powiem, nie był odporny na nawroty choroby? Ponieważ jestem z wykształcenia germanistą, prawdopodobnie stąd to *skrzywienie*, stwierdzam, że dla zagranicy kultura niemiecka jest nie do pomyślenia bez Wagnera, bez Fichtego, bez Schopenhauera, bez Nietzschego. Jürgen Habermas nie stanowi tu wystarczającej przeciwwagi. Cytowany przez Pana Tomasz Mann w swoich „Myślach czasu wojny” czy „Rozważaniach człowieka apolitycznego” sprawia znacznie bardziej wiarygodne wrażenie niż w swoich mowach o demokracji. Niestety muszę to powiedzieć, chociaż to drugie byłoby dla mnie sympatyczniejsze. Bardzo sympatyzuję z Pańską tezą, ale jak można ją pogodzić z tą linią tradycji kultury niemieckiej? Gdzie tu jest Heidegger? Gdzie jest miejsce dla tej linii tradycji, która za granicą jest po części utożsamiana z niemiecką kulturą, z niemiecką ideologią? Bez Carla Schmidta, Gottfrieda Benn, Ernsta Jüngera zupełnie nie można zrozumieć niektórych rzeczy, jakie wydarzyły się w Niemczech. Na ile ta linia tradycji została włączona do Pańskiej koncepcji? Czy w ogóle da się ona do niej włączyć?

Hubert Knirsch, ambasada RFN w Polsce

Panie Profesorze, zwrócił Pan uwagę na to, że Zachód to również projekt niedokończony. Ta myśl bardzo mi się spodobała, ponieważ jest inspirująca, skierowana ku przyszłości. Kiedy gdzieś się przybyło, to nasuwa się pytanie „co teraz?”. Myślę, że w Polsce stawia się to pytanie. Teraz, kiedy dzięki przystąpieniu do Unii Europejskiej i NATO znalazła się ona również zupełnie oficjalnie na Zachodzie. Polska odwołuje się przy tym do swojego doświadczenia historycznego. Wydaje mi się, że przy tej okazji kieruje spojrzenie na Wschód, że odczuwa historyczne zobowiązanie wobec wschodnich państw sąsiedzkich, żeby zbliżyć je do Zachodu. Czyli pewne całkiem prozachodnie zobowiązanie wobec Wschodu.

Co w takim razie z nami, Niemcami? Jak możemy zastosować w tej sytuacji nasze historyczne doświadczenie i czy w ogóle możemy je wykorzystać, skoro znaleźliśmy się na Zachodzie? Skoro mamy możliwość, a może nawet zadanie, by dalej wraz z innymi kształtować ten niezakończony projekt zwany Zachodem. Przestrzega Pan przed sprawiającym oczywiście żałosne wrażenie sposobem, w jaki zrobił to pan Lafontaine. Ale jak w takim razie możemy w ogóle stosować nasze historyczne doświadczenie? Czy może się ono nam jeszcze do czegoś przydać? Czy do czegoś się nadaje? Czym byłaby suwerenność, którą zdobyliśmy, gdybyśmy nie mogli do niej zastosować naszego doświadczenia historycznego?

Prof. Dieter Flader, Wolny Uniwersytet Berliński

Jak w koncepcji państwa postnarodowego można w odniesieniu do nowego, zglobalizowanego kapitalizmu finansowego wykonywać funkcję, którą tradycyjnie wykonywało państwo narodowe, a mianowicie wyznaczania ram (prawnych) dla gospodarki – ram, które byłyby pilnie potrzebne do deregulacji tego, co dzieje się na nowych rynkach finansowych, aby np. zapobiegać katastrofom takim jak krach na giełdzie lub gwałtowna dewaluacja krajowych walut, niosącym zagrożenie dla milionów ludzi, którzy bynajmniej nie są odpowiedzialni za tego rodzaju katastrofy?

Prof. Jerzy Jedlicki, Instytut Historii PAN

Jeżeli zajrzemy do wyników badań socjologicznych, powtarzanych periodycznie w różnych krajach europejskich, na temat szacunku i sympatii do różnych narodów, to zobaczymy ciekawą rzecz: mianowicie, że w Polsce szacunek i sympatia dla Niemców zostały wywindowane na bardzo wysoką pozycję wśród 15 czy 20 krajów rangowanych, natomiast w Niemczech sympatia dla Polaków jest w dalszym ciągu bardzo niska. O czym to świadczy? Moim zdaniem świadczy to o tym, że wszystkie te sprawy historyczne, o których my tutaj rozmawiamy, tracą społeczne znaczenie, bo w warunkach tej *wspólnej europejskiej drogi na Zachód*, o której tu mówiono, o stosunku do innych narodów decyduje osiągnięty przez nie dobrobyt, przy coraz większej ignorancji i zobojętnieniu dla przeszłości.

To ma i dobre i niedobre skutki. Ja jestem z tego ostatniego pokolenia, które jeszcze pamięta okupację hitlerowską w Polsce. Ale my schodzimy z wolna do grobu, a w młodym pokoleniu to już mało kogo interesuje. Wojna, okupacja – to jest taka historia z nauki szkolnej, coś jak walki z Zakonem Krzyżackim, i zainteresowanie dla tych doświadczeń historycznych w Polsce maleje. A w Niemczech, jak mi się zdaje, nie może nawet maleć, bo zawsze znikoma była wiedza o tym, czym był najazd Trzeciej Rzeszy na Polskę i rządy w niej okupantów. W związku z tym

w niemieckiej pamięci nie ma nawet czego tracić. I otóż dzisiaj wydaje się, że wymiar ekonomiczny, cywilizacyjny jest w społecznej mentalności po obu stronach zdecydowanie ważniejszy aniżeli doświadczenia i resentymenty historyczne i ważniejszy niż wiedza polityczna także. Zapytajcie polską młodzież, kto jest kanclerzem Niemiec albo jakie partie wchodzi w skład koalicji rządowej w Berlinie! Obawiam się, że odpowiedzi będą zatrważająco fałszywe, albo przeważać będzie odpowiedź „nie wiem”. Prawdopodobnie jeszcze gorzej wypadnie test, jeśli maturzystów niemieckich zapytacie o to, co takiego wydarzyło się w Polsce przez ostatnie, powiedzmy, dwadzieścia lat. Ale zapytajcie młodych Polaków, jak się żyje w Berlinie, we Frankfurcie, czy w Düsseldorfie, to oni świetnie wiedzą!

Tutaj się mówi o *Drang nach Osten*, to jest zamierzczła przeszłość. W tej chwili to Polacy wymaszerowali gremialnie na Zachód, i to również inteligencja polska. Bardzo dużo w naszej prasie pisze się o tym, jak Polacy zalewają rynek pracy w Anglii i w Irlandii, znacznie mniej o tym, że systematycznie z roku na rok rośnie liczba polskiej ludności w Niemczech. O tym pisze się mniej dlatego, że to jest po części nielegalna emigracja, jako że Niemcy swojego rynku pracy jeszcze dla nas szeroko nie otworzyły. Ale to trwa! Ostatnio czytałem w prasie kilka reportaży o tym, jak wyludniają się miasta przygraniczne we wschodnich landach zasiedlają Polacy, a teraz, po wejściu Polski do strefy Schengen, to będzie prawdopodobnie masowy proces, prawda? Bo tam mieszkania są tańsze, a płace wyższe niż u nas. I to takie procesy w tej chwili decydują o tym, jak jedni drugich postrzegamy, a nie narodowy, czy postnarodowy, czy federalny, czy jakikolwiek inny ustrój bądź Polski, bądź Niemiec, bądź Unii Europejskiej.

Ja to mówię z pewną nostalgią, z pewnym smutkiem. Jestem historykiem i wydaje mi się, że wiedza historyczna jest potrzebna i ważna, i potrzebna jest pamięć pokoleń, ale kierunek przemian na scenie współczesnej i w umysłach ludzi trzeba widzieć takim, jaki jest.

Prof. Zbigniew Pełczyński, Stowarzyszenie Szkoła Liderów, Warszawa

Podziwiam bardzo tę historyczną wielkość dzieła profesora Winklera i mam nadzieję, że niedługo zdobędę i będę miał czas przeczytać jego książkę. Obecnie mam pewien – można powiedzieć – filozoficzny problem z jego podejściem. Być może dlatego, że nie zrozumiałem jego wykładu, a może dlatego, że nie przeczytałem jeszcze jego książki? Duży akcent kładzie prof. Winkler na *państwo narodowe*. Tak jakby była to naczelną wartość historyczna. Ja uważam, że państwo narodowe nie ma takiej wartości, ale ma tylko jakby względną, relatywną war-

tość. Nie ma natomiast absolutnej wartości moralnej. I ja bym chciał bardzo, aby Pan Profesor wypowiedział się na ten temat.

Narody są różne i mają różne, czasem wręcz zbrodnicze cele. Mi się wydaje, że to, co ma absolutną wartość w polityce, to znaczy nie jest instrumentem do czegoś innego, tylko jest ważne, wartościowe samo w sobie, to jest wspólnota ludzka, wspólnota obywatelska, która może się składać z najróżniejszych elementów etnicznych, tak jak Szwajcaria. Łączą ją pewne fundamentalne ludzkie wartości – wolność, sprawiedliwość, praworządność, prawa ludzkie i tak dalej. Tylko taka wspólnota jest, według mnie, moralnie absolutnie wartościowa.

A zatem tak: wydaje mi się, jeżeli dobrze zrozumiałem Pana Profesora, że to, o czym mówimy, to, co przypisujemy Europie, szczególnie Europie zjednoczonej, to jest to, że ta Europa stworzyła czy wypracowała właśnie tego rodzaju wspólnotę. To jest zjawisko ponadnarodowe, gdzie te wartości czysto narodowe, etniczne itd. odgrywają drugorzędną rolę i są podporządkowane owym wartościom i wspólnym celom.

Dlatego chciałbym właśnie wyjaśnić, jaki jest stosunek profesora Winklera właśnie do tych dwóch pojęć – tej wspólnoty politycznej, która jest nieetniczna, nienarodowa lub ponadnarodowa, oparta na fundamentalnych ludzkich wartościach i tej, która jest zakorzeniona tylko w historii, kulturze, tradycji, języku, etniczności itp. jakiegoś jednego partykularnego narodu. Dobrym przykładem tego drugiego mo-że być dzisiejsza Serbia.

Prof. Heinrich August Winkler

Co do pierwszego wystąpienia: bardzo się ucieszyłem, że nie zacytował Pan żadnych żyjących Niemców jako świadków koronnych tych niemieckich tradycji, które rzeczywiście jeszcze w okresie międzywojennym odgrywały ogromną rolę w myśleniu politycznym w Niemczech. Moja książka nie traktuje o historii kultury w najbardziej ogólnym rozumieniu, traktuje natomiast jak najbardziej o kulturze politycznej i dlatego w rozdziałach o latach 20. i 30. nie tylko pojawiają się oczywiście Carl Schmitt, Ernst Jünger i Heidegger, lecz są omawiani jako typowi przedstawiciele tej niemieckiej tradycji, która explicite lub implicite była zdecydowanie antyzachodnia. Mam zresztą wrażenie, że fascynacja, której źródłem jest jeszcze dziś Heidegger, jest większa we Francji niż w Niemczech. Tak w każdym razie wynika z moich rozmów, które udało mi się odbyć w 1988 roku przy okazji dłuższego pobytu we Francji.

Jeśli zaś chodzi o Tomasza Manna, to jest on istotnie ciekawym przykładem tego, że w jednej i tej samej biografii mogą dojść do głosu skrajnie odmienne systemy wartości. Sam Tomasz Mann wypowiedział się przecież raz całkiem *explicite* i sumarycznie o swojej ewolucji. Było to owo słynne przemówienie o Niemczech i narodzie niemieckim, które wygłosił tuż po *upadku*, czyli bezwarunkowej kapitulacji Trzeciej Rzeszy w maju 1945 roku w *Library of Congress* w Waszyngtonie. Mówił wtedy – autor „Rozważań człowieka apolitycznego”, zwolennik przeciwstawienia rzekomo wyższej i głębszej kultury niemieckiej płaskiej jakoby cywilizacji Zachodu – że podzielał te błędy i że nosi w sobie to wszystko, co teraz krytycznie formułuje. Droga od „Rozważań człowieka apolitycznego” przez przemówienie o niemieckiej republice z 1922 roku, przez obronę Republiki Weimarskiej w jej końcowej fazie po owo krytyczne spojrzenie wstecz na *wsobność oślanianą władzą* w mowie ku czci Wagnera, wygłoszonej przez Tomasza Manna w 1933 roku, przez esej „Brat Hitler”, aż po owo przemówienie z maja 1945 roku – na przykładzie tej biografii intelektualnej warto przyjrzeć się procesowi okcydentalizacji Niemiec. W swojej mowie z maja 1945 roku Tomasz Mann wypowiedział zdanie, które moim zdaniem w szczególnie dobitny sposób wyraża niemiecki paradoks: „Nie istnieją dwa narody niemieckie, dobry i zły, ale tylko jeden, którego najlepsze cechy za sprawą diabelskiego podstępów obróciły się w zło.” Tomasz Mann pisze to w chwili, gdy pracuje nad „Doktorem Faustusem”. W mowie tej wypowiada się też o niemieckim romantyzmie, zwłaszcza o romantycznej niemieckiej muzyce Richarda Wagnera jako o wzbogaceniu kultury światowej, które jednak, kiedy tylko oddziaływało polityczne, przynosiło wysoce ambiwalentne efekty – w postaci postawy obronnej wobec oświecenia. Tomasz Mann śledzi tę tendencję, cofając się daleko w głąb dziejów. Zakładam, że ten tekst jest dostępny również po polsku. Jest to w każdym razie po dziś dzień jedna z najbardziej fascynujących analiz dziedzictwa niemieckiego romantyzmu, niemieckiej *wsobności*, bardzo subtelna i wyważona, ale przepojona świadomością, że suma resentymentów zmobilizowanych przeciwko oświeceniu doprowadziła do katastrofy.

Powtórzę: cieszę się, że nie przywołał Pan tu na świadka żadnego autora ze współczesności, chociaż przecież znalazłby się taki kandydat. Mowa Martina Mosebacha z okazji przyznania mu nagrody im. Georga Büchnera była jednym wielkim protestem przeciwko oświeceniu i to, że „Frankfurter Allgemeine Zeitung” próbowała zrobić z tego wielką debatę, jest być może równie symptomatyczne co fiasko tej próby. Mówię to również dlatego, że sprawa dotyczy poniekąd mnie samego. Na pytanie przewodniczącego Berlińskiej Akademii Sztuk, Klausa Staeka,

czy chciałbym poprowadzić dyskusję z Martinem Mosebachem, odpowiedziałem „Chętnie!”. Niestety Martin Mosebach odmówił udziału w tej rozmowie. Tyle o toczeniu wielkich debat w Niemczech, jeśli chodzi o przedstawicieli tradycji negatywnie nastawionej do oświecenia. Za Mosebachem nie stoi chyba żadne większe ugrupowanie. Stalin pytał „Ile dywizji ma papież?” Za Mosebachem nie stoją najwyraźniej nawet bataliony intelektualne.

Następnych pytań nie uda mi się teraz omówić punkt po punkcie. Chciałbym jednak raz jeszcze zająć się kompleksem postnarodowym. Owszem, globalizacja ekonomiczna uzmysłowiła nam, że państwa narodowe bardzo szybko napotykały swoje granice i wskutek tego potrzebują instytucji ponadnarodowych, jeśli ma się udać stworzenie warunków ramowych – humanitarnych, ekologicznych i społecznych warunków ramowych globalizacji. Dlatego Unia Europejska stoi w znacznej mierze przed wyzwaniem, a moim zdaniem dotyczy to również wspólnoty transatlantyckiej, o ile można o takiej mówić. W każdym razie za nader ważne zadanie uważam prowadzenie transatlantyckiego dyskursu o tych właśnie sprawach. Mimo to państwa narodowe nie będą z tego powodu jeszcze musiały schodzić ze sceny, przynajmniej dopóty, dopóki mają znacznie większą legitymizację demokratyczną, niż jest to niestety dotychczas w przypadku Unii Europejskiej.

Uważam, że Unia Europejska boryka się z deficytem legitymizacji, który jest bezpośrednim następstwem polityki faktów dokonanych. Istotne decyzje zapadają za zamkniętymi drzwiami. Dotyczy to nie tylko Komisji Europejskiej, lecz także Rady Europejskiej. Myślę o decyzjach w sprawie przyznania statusu kandydata krajom ubiegającym się o członkostwo lub rozpoczęcia rokowań akcesyjnych. Później nie można się dziwić, jeśli Unia Europejska jest przez wielu ludzi postrzegana jako coś, co Karol Marks nazwał *narastającym usamodzielnianiem się władzy wykonawczej*. Oczywiście nie mógł mieć na myśli Unii Europejskiej. Ukuł to wyrażenie w odniesieniu do ustroju Francji okresu bonapartyzmu, pod rządami późniejszego cesarza Napoleona III. Ale to, że takie określenie się narzuca, jeśli przyjrzeć się postrzeganiu sposobu funkcjonowania Komisji Europejskiej lub Rady Europejskiej, zasługuje moim zdaniem na uwagę.

Mój wniosek z tego jest następujący: dopóki nie uda się przyznać Parlamentowi Europejskiemu więcej praw, a coś w tym kierunku miejmy nadzieję wydarzy się dzięki Traktatowi Lizbońskiemu, dopóty parlamenty krajowe muszą przejmować większą odpowiedzialność za zasadnicze decyzje polityki europejskiej. Muszą one być włączone do europejskiego procesu decyzyjnego, zanim zapadną tak funda-

mentalne decyzje jak te wspomniane powyżej. Raz jeszcze podam przykłady: przyznanie statusu kandydata krajowi ubiegającemu się o członkostwo i rozpoczęcie rokowań akcesyjnych. Jeśli tak się nie stanie, poczucie frustracji i wyobcowania w stosunku do instytucji europejskich będzie się nasilać. Nie polecam w tym kontekście dalszego stosowania pojęcia *postnarodowy*, które tylko prowokuje nieporozumienia. Pojęcie *postklasycznych państw narodowych* znacznie lepiej oddaje sytuację. Państwa członkowskie UE to państwa narodowe, które nadal mają swoje pola decyzji i działania, ale na dobre i na złe są zdane na wzajemną współpracę oraz na sprawowanie swej suwerenności po części wspólnie lub przekazywanie jej części instytucjom ponadnarodowym. Właśnie to wyróżnia państwa należące do Unii Europejskiej. Kto zaś nie zgadza się na dążenie do tego celu, nie powinien należeć do Unii Europejskiej. Moim zdaniem to zaniedbanie, że podczas rokowań akcesyjnych o wiele za mało uwagi poświęcano temu elementowi kryteriów kopenhaskich: czy dane państwo ubiegające się o członkostwo jest gotowe sprawować swą suwerenność po części wspólnie z innymi lub przekazywać ją po części instytucjom ponadnarodowym? Jeśli nie, to nie będzie unii politycznej i dlatego uważam, że jest to sprawa aktualna także w związku z tematem „Turcja”. Bowiem w przeciwnym razie, jak powiedziałem, musimy pogrzebać projekt *unii politycznej*, a do tego przynajmniej ja nie jestem gotów.

Na zakończenie raz jeszcze o kwestii asymetrycznego – tak chyba można spokojnie powiedzieć – postrzegania Polski w Niemczech i odwrotnie, Niemiec w Polsce. Zwróciłem już wcześniej uwagę na to, że przynajmniej wśród elit politycznych w klasie politycznej bezsporne jest, a wie o tym również bardzo wielu myślących politycznie Niemców, że nie byłoby zjednoczenia Niemiec bez samowyzwolenia się Polski. Ja w każdym razie należę do tych, którzy datują pokojową rewolucję nie dopiero od 1989 roku w NRD, lecz od 1980 roku w Polsce, czyli od roku, w którym założono Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność. Będziemy musieli jeszcze wykonać w tej mierze dużą pracę uświadamiającą. Bowiem zwyczajnie nie możemy sobie pozwolić na wzajemną niewiedzę i dalsze oddziaływanie resentymentów. Musimy – zwłaszcza my, historycy – pracować nad stworzeniem czegoś w rodzaju *minima historica*, czyli podstaw europejskiego obrazu historii. W jego ramach stosownie eksponowane miejsce – także w kilku krajach, w których istnieje pewna niechęć do krytycznego osądzenia własnej przeszłości – powinien zająć holokaust, zbrodnia niemiecka, dokonana z udziałem licznych współników spoza Niemiec. Myślę, że w krajach bałtyckich jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia w tym zakresie. Obserwuję też z zainteresowaniem dyskusje toczone się na ten temat w ostatnich latach w Polsce. Potrzebujemy zastanowienia

się także nad drugim okresem dyktatury, który był doświadczeniem Europy Środkowo-Wschodniej. Wciąż słusznie nam się przypomina, że nie wolno go wyłączać z refleksji nad europejskimi doświadczeniami historycznymi. W tym względzie starsi stażem członkowie UE muszą podjąć jeszcze pewien wysiłek intelektualny. Niemiecko-francuski podręcznik szkolny to wspaniałe osiągnięcie i mogę mieć tylko nadzieję, że podobna rzecz powstanie kiedyś także dla Niemiec i Polski. Ale być może jeszcze ważniejsze jest to, byśmy uświadomili sobie wspólne znamiona europejskie, wspólne znamiona Zachodu, aby wreszcie, używając argumentów uświadamiających, przeciwdziałać zawężaniu wizji historii do państw narodowych i tworzeniu narodowych mitów. Europa od tego zależy, bo Europa potrzebuje poczucia „my”, a tego nie uda się osiągnąć bez pracy u podstaw w dziedzinie historii. Dziękuję bardzo.

Prof. Klaus Ziemer

A zatem, Szanowni Państwo, także ostatnia runda przyniosła wiele zagadnień, które warto by przedyskutować, ale tymczasem również my pokonaliśmy długą drogę, trwającą ponad dwie godziny. I wydaje mi się, że wszyscy też zasłużyliśmy na to, by kontynuować tę dyskusję teraz w kręgu nieformalnym. Pragnę bardzo serdecznie podziękować profesorowi Winklerowi za inspirujący wykład, wszystkim trzem panom, którzy uczestniczyli w panelu, za wypowiedzi w dyskusji, Państwu za ich wielkie zainteresowanie i liczne pytania.



Heinrich-August Winkler



Adam Krzemiński



Klaus Ziemer



Robert Traba